



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 24 kwietnia 1955 r.

Nr 17 (265) Rok VI

LEON KRUCZKOWSKI

KAZIMIERZ BRANDYS

Rodowód historycznego układu

Jakże nie wspomnieć, że dramatyczne to były dzieje — dzieje stosunków między narodem polskim a narodami rosyjskim, ukraińskim i białoruskim! Naprzód „wschodnia”, kolonizatorska polityka magnaterii doprowadziła do tego, że słowo „Polak” stało się dla chłopów Ukrainy i Białorusi synonimem człowieka z batem, eksploatatora. Potem zabór — część caratu doprowadziła do tego, że słowo „Moskal” zaczęło znaczyć dla ludu polskiego najeźdźcę i wroga wolności. Egoizm polskich magnatów i despotyzm władców carskiego imperium zasiały trujące ziarno w uczuciach bratnich narodów, nawarzyły diabelskich trunków, zagmatwały prostotę rozwoju.

Rozsuplać te dławiące sploty mogło jedynie zwycięstwo zasady, że władza należy do ludu, do narodu. O tym zwycięstwie marzyli najlepsi synowie Rosji i Polski, Ukrainy i Białorusi: demokraci — rewolucjoniści, poeci i organizatorzy walk wyzwoleniczych. Noc jeszcze była, kiedy zaczęli snuć przedzę przyszłego brzasku. Ale zwycięstwo twórczego marzenia sam lud jedynie mógł wywalczyć. Zwycięstwo to zaczęło się urzeczywistniać pod wodzą Lenina w dniach wielkiego Października.

Przez ćwierć wieku Związek Radziecki skupiał na sobie zwierzęcą nienawiść polskiej burżuazji — nienawiść, podszytą strachem brudnych sumień. Ale klasa robotnicza, ale masy ludowe w Polsce już wiedziały: chłostane batem fabrykarskiego i obszarniczego wyzysku, bezrobocie i sanacyjnego terroru — szeptem i pieśnią na ulicach snuły żarliwy wątek wiary w Związek Radziecki, miłości do kraju budującego socjalizm, ufności w jego wyzwolenicze siły. Uczucia te okazały się — jak wiemy — nieomyślne.

Taki, nie inny, jest rodowód historycznego aktu z dnia 21 kwietnia 1945 r. — Układu o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej między narodem polskim i narodami Związku Radzieckiego. Tylko z formalnego punktu widzenia może on być uważany za zwykły akt dyplomatyczny. Jakaż bowiem dyplomacja zdolna jest rozwiązywać procesy historyczne? Zadania takie należą do samych ludów, do mas pracujących pod przewodem rewolucyjnej partii.

Dzisiaj, w dziesiątą rocznicę wielkiego Układu, postanowienia w nim zawarte stały się już tkanką życia wszystkich

związanych tym aktem narodów. Układ ten sam z kolei kształtuje dalszy tok procesu historycznego, z którego się zrodził. Kształtuje przede wszystkim rozwój naszego, polskiego życia, budownictwa socjalizmu w naszym kraju. Dopomógł nam już dziś wysunąć się do rzędu pięciu czołowych państw przemysłowych Europy.

Związany z wielkim imieniem Stalina, jest równocześnie ważnym ogniwem w szerebie aktów, podyktowanych wolą zabezpieczenia pokoju światowego. Podpisany w dniach socjalistycznej wiosny ludów, w niezapomnianych dniach dobijania hitlerowskiej bestii wojennej, dziesięć już lat dobrze służy pokojowi. Niech nadal pełni pomyślnie tę szlachetną służbę!

Leon Kruczkowski

W kręgu wielkich doświadczeń

Coraz częściej oceniamy się dzisiaj miarą dziesięciu minionych lat. Nie jest to miara pospolitą. Dziesięć lat — jedna szósta życia człowieka, dziesiąta część stulecia — to czas, w którym wiele może się stać i równie wiele przepaść. Dziesięć lat ostatnich podobno liczy się potrójnie; trudno oczywiście ustalić, czy jest to doкладne obliczenie, ale chyba nie ulega wątpliwości, że naszej generacji przypadł w udziale czas potężnego wybuchu dziejów.

Zdaje się, że ciągle jesteśmy oszołomieni siłą tej eksplozji. Używam formy „my”, mając na myśli ludzi, którzy nie chcą pozostawać w tyle za wypadkami. Jest to dziś połączone z wielkim wysiłkiem intelektualnym, ponieważ wypadki ciągle wyprzedzają ludzką myśl. W naszych oczach poszerzył się obszar historii: ziemie, które do niedawna leżały na mglistych peryferiach naszej wiedzy o świecie, dziś stają się życiodajnymi pokładami epoki; energia, o której istnieniu wiedzieliśmy z niejasnych pogłosek, dziś może rozstrzygnąć o losach świata. Chyba nigdy dotąd człowiek, który chce myśleć racjonalistycznie, nie miał do rozwiązania tak olbrzymich zagadnień.

Ale cofnijmy się o dziesięć lat. Proszę mi wybaczyć, że będę mówił o sobie. Dziesięć lat temu, w kwietniu 1945, chodziłem po plan-

tach krakowskich w stanie absolutnego upojenia wolnością. Fałszywym był najstraszliwszym doświadczeniem mojego życia. Chwila, gdy zobaczyłem pierwszego czerwonarzystę (był to młody Uzbek na koniu, który zawołał: o wolność!), będzie dla mnie pamiętną chwilą najwęższej radości jaką można przeżyć. W trzy miesiące później stałem w tłumie ludzi na Rynku Krakowskim, głosząc za układem przyjaźni i pomocy ze Związkiem Radzieckim.

Myślę, że podobne wspomnienia ma wielu innych prócz mnie. Myślę również, że wielu innych ludzi w Polsce, podobnie jak ja, nie ożarniało wówczas w pełni ogromnej doniosłości owego momentu. Doniosłości nie tylko historycznej (coraz łatwiej i częściej posługujemy się zespolem pewnych słów, osłabiając przez to ich treść), ale po prostu mam tu na myśli doniosłość w zakresie naszych osobistych, najbardziej ludzkich spraw.

Należałem wtedy do ludzi, dla których Związek Radziecki był krajem socjalistycznej rewolucji i zwycięstwa nad faszysmem. Te dwa fakty miały dla mnie wymowę prostą i bezsporną. Postanowiłem wyciągnąć z nich wnioski dla siebie: postępować w ten sposób, aby moja praca służyła ostatecznemu zdeptaniu faszysmu i budowaniu socjalistycznego życia w naszym kraju. Tę chwilę czy decyzję uważam za właściwy początek mo-

jej społecznej świadomości. Jeśli miałbym oznaczyć ją datą, to — mimo iż decyzje wewnętrzne rzadko zapadają w ciągu jednego dnia — musiałbym wybrać dzień 21 kwietnia 1945, ponieważ ta data jest dla mnie najwymowniejsza, ponieważ wraz z milionami ludzi wkroczyłem tego dnia w dziedzinę świadomości nowego typu, obejmującej wielkie masy pracownicze szóstej części świata, ponieważ wreszcie w tym dniu wraz z milionami ludzi rozpocząłem trudną drogę komunisty.

Powtarzam: trudną drogę komunisty. Przypuszczam, że te słowa nie brzmią jak frazes dla tych co rzeczywiście w tę drogę wkruszyli. Ja używam ich w pełni świadomości. Z początku nie doceniałem trudu zdobywania nowego światopoglądu i nowej postawy moralnej. Przed wojną byłem antyfaszystą, należałem do socjalistycznej organizacji młodzieżowej. Wydawało mi się, że krok od antyfaszysmu do rewolucyjnych stanowisk partii komunistycznych jest łatwym i niewielkim krokiem. Z pewnym zdziwieniem słuchałem zdań działaczy partyjnych, nawołujących do wykorzystywania doświadczeń Związku Radzieckiego. Dlaczego o tym piszę? Dlatego, że wydaje mi się, iż znówu byłem w tej mierze podobny do wielu innych ludzi. Nie pojmowaliśmy w całej głębi i w pełnym rozmiarze dramatycznego wysiłku, skomplikowanej walki,

moralnego i materialnego trudu rewolucji socjalistycznej. Dopiero lata, które miały nadejść, zetknęły nas oko w oko ze spletem zagadnień najcięższych do podjęcia i rozwiązania. Sądję, że kto się z nimi nie stawił we własnym życiu i sumieniu, ten nie ma pełnego prawa nazywać się człowiekiem XX wieku.

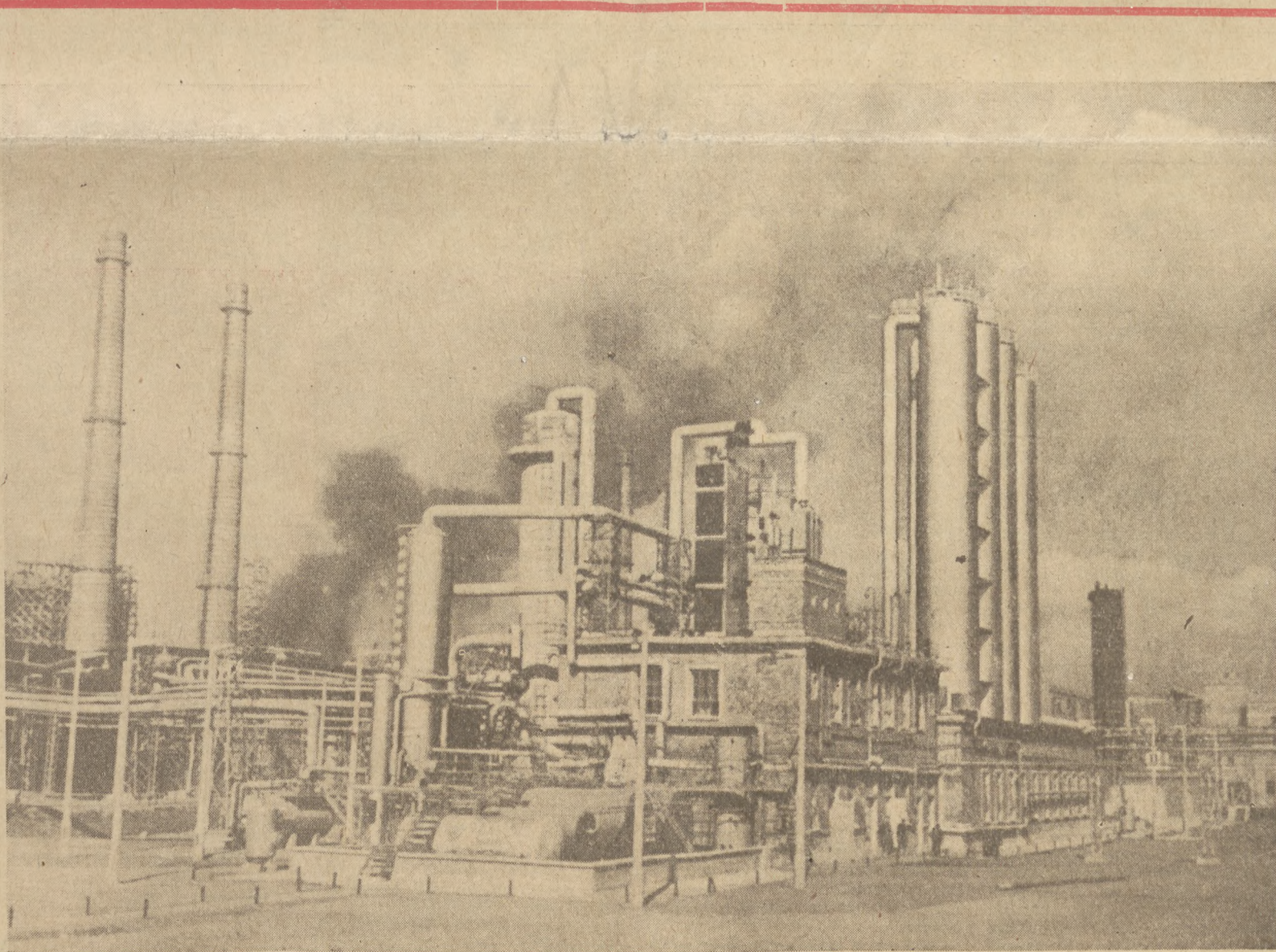
Przez te lata wiązało nas z Krajem Rad najbliższe sąsiedztwo. Czy trzeba wyliczać dziedziny, w których przyjaźń naszych krajów znajduje rzeczywiste potwierdzenie? W miastach radzieckich, na uczelniach i w zakładach pracy spotykałem setki uczącej się polskiej młodzieży. Piszę i odpowiadam na listy radzieckich czytelników. Widziałem inżynierów radzieckich, projektantów Nowej Huty i moskiewskich spawaczy-budowniczych Pałacu Kultury i Nauki. Słuchałem publicznych wyprawiedzi kierowników Państwa Radzieckiego, gwarantujących nasze granice zachodnie.

Ale przecież to nie jest wszystko. W ciągu tych dziesięciu lat, jakie upłynęły od dnia zawarcia układu, staliśmy się społeczeństwem o wyższej świadomości historycznej niż kiedykolwiek w ubiegłych okresach naszych dziejów. Znam dość dobrze obecny poziom myślenia — jeśli nie wielu środowisk, to przynajmniej środowiska intelektualnej awangardy wyrosłej w ciągu ostatnich lat. Jest to myślenie nowe dla Polaka. Nigdy dotąd nie miał przedjudycy inteligent w naszym kraju tak szerokiego obrazu rzeczywistości, nigdy nie myślał tak krytycznie i nigdy dotąd nie stawiał sobie tak trudnych zadań jak obecnie. Od czasu do czasu bądź co bądź stykam się także z innymi ludźmi. Wierzę, zdaje sobie z tego sprawę, jak wiele jest wśród nich nieufności do słowa drukowanego, ile zła wyrządziła im błędna propaganda, jak trudno nieraz dotrzeć do ich prawdziwych sądów. Ale jednocześnie ileż razy potrafili mnie zadziwiać jakimś bezwiednym odruchem świadczącym o tym, jak bardzo są odmienni od postaci bezideowego drobnomieszczanina, jak są już nowi w swoim — czasem nieuświadomionym — jeszcze — stosunku do rzeczywistości, o ile bliżsi typu obywatela, człowieka społecznego, człowieka z kolektywu.

Niektórzy krytycy zarzucają mi zbyt optymistyczne widzenie teraźniejszości, zwłaszcza w ostatniej mojej powieści. Być może, iż z nadto ulegam osobistemu przeświadczeniu, że perspektywa naszego rozwoju prowadzi w stronę pomyślną dla człowieka. Ale to nie znaczy, abym nie doceniał ciężkich doświadczeń, jakim współczesny człowiek był, jest i zapewne będzie poddawany. Abym nie rozumiał, że nasza rzeczywistość rodzi się w męce i ofiarach, że ciągle wymaga najwyższego wysiłku i nieraz okrutnej odpowiedzialności. Wiecej: jestem przekonany, że i w tej mierze nie należę do wyjątków. Ludzi, którzy jasno pojmują konieczność wielkich kosztów związanych ze spełnieniem naszych celów, którzy rozumieją, że te koszty w obecnym układzie sił na świecie można obniżyć tylko do pewnej granicy — takich ludzi jest wśród nas coraz więcej.

Przez ostatnie lata często powoływałem się na przykład Związku Radzieckiego, ludzi radzieckich. Historia ZSRR to historia konsekwentnego wysiłku i ofiar, najnowocześniejsza, najdalej wysunięta naprzód w ambicjach planowania społecznego; to historia, w której najmocniej się skupiają wszystkie elementy walki o ocalenie ludzkości. Od dziesięciu lat jesteśmy w najbliższym zasięgu tej walki. Historia Związku Radzieckiego torowała w tym czasie drogę naszemu wielkiemu narodowemu zamierzeniu, uczyła nas odwagi i czujności, samozaparcia i wiary w przyszłość, kierowania masami ludzkimi i nasłuchiwanie ich głosu. Należymy dziś do wielkiego obozu narodów skupionych wokół Kraju Rad. Jesteśmy w części świata spojęnej walką o pokój i wspólne budowanie. Łączymy nas solidarność z dalekimi ludami Azji i Afryki. Nigdy jeszcze w dotychczasowych dziejach Polska nie dokonała tak zdecydowanego wyboru, nigdy tak dobitnie nie odcięła się od tego co złe, i nie opowiedziała się za tym co dobre dla ludzkości. Jak w ciągu owych dziesięciu lat dzielących nas od dnia zawarcia przymierza ze Związkiem Radzieckim.

Kazimierz Brandys



Fragment huty im. Lenina w Nowej Hucie.

MIKOŁAJ RYLENKOW

Przełożył JULIAN TUWIM

W chwilach zadumy — milczeć nam nie brońcie.
Zostawcie nas z naszymi zadumami.
Milczenia nauczyła nas na froncie
Śmierć, która zawsze stała za plecami.

Inne wymiary uczuć nam podszeptaj
Jej [...] głos. Więc jest nam jak bluznierca
Ten, kto nas chwałą darzy niepotrzebną,
Kto wspomnień ciekaw i doświadczeń serca.

Nazbyt nam hojną odmierzone miarę
Miłości, męstwa i [...] krzywdy.
Traciłmy najbliższych. Ale wiary,
Wiary w ojczyznę nikt nie stracił nigdy.

Zostawcie nam dni tamte, dzieje tamte,
Bo jakże łatwo zranić nas boleśnią,
Gdy westchnie ktoś... gdy powie coś niewczesnie.
Czy pamiętać? Zaniemówił Dante,
On, który piekło zwiedził tylko we śnie.

Wiersz napisany w r. 1942, przełożony 19.VII.1944. Miejsca wykrępowane w nawiasach — niewypełnione przez tłumacza.

ROMANA GRANAS

Bliżej Lenina

Właśnie dziś, kiedy sprawa leninowskich zasad w działalności partii i państwa pochłania tysiące umysłów, właśnie dziś — urodzin Włodzimierza Lenina — pomówmy o rzeczy w leninizmie najważniejszej: o dyktaturze proletariatu.

My przecież tę rzecz najważniejszą już mamy, tutaj, na polskiej ziemi, gdzie ongiś same tylko słowa „dyktatura proletariatu“ — bliższe i drogie świadomym proletariuszom — obce były a nawet odstrasające dla wielu milionów ludzi. Dziś naród uważa za rzecz naturalną i niemal samo przez się zrozumiałą, za rzecz sprawiedliwą i własną nasz ludowy ustrój i wie, że wywalczył go pod przewodnictwem partii, pod sztandarem leninizmu.

Droga po której idziemy od zarażenia naszej rewolucji — to leninowska droga. Wiele z nas może nie docenia w pełni tego, ile już leninowskie kroki weszły w byt i w świadomość narodu, przenikając każdy nasz dzień powszedni.

Płynięcie stał z martenów hutę im. Lenina — nikt się już temu nie dziwi. Rozwija się współzawodnictwo pierwszomajowe — jak co roku. Do przewodniczącego gromadzkiej rady narodowej przychodzą kobiety i wydziewają: „przed wyborami toście obiecywali założyć elektrownię, aleście jeszcze palcem o palec nie ruszyli, w innych wsiach to się już dawno święci, radia słuchają!“... Jedziesz gościncami naszego kraju — mijają cię drogowskazy: „Do spółdzielni produkcyjnej“. Jesienią na każdej drodze możesz spotkać sznur chłopskich wozów ze zbożem, na przedzie czerwony transparent: „Umacniamy sojuz między miastem a wsią“. W tramwaju usłyszysz rozmowę grupki studentów: „nie bardzo rozumiem, jak to ten kapitał przemysłowy zarasta się z bankowym...“, „...e, imperializm nie jest taki trudny, poczytałbyś empiriokrytycyzm“...

Pracę setek tysięcy działaczy społecznych — partyjnych, państwowych, związkowych, gospodarczych, młodzieżowych, pracowników nauki i kultury przenikała coraz silniej leninowskie idee. Po wyborach, po grudzie, wśród przeszkód i trudności, ale bez przerwy toruje sobie drogę leninowska myśl. Sojusz robotniczo — chłopski, władza ludowa plus elektryfikacja, związki zawodowe — szkoła komunizmu, leninowska „trójjedyna“, leninowski plan spółdzielczy, leninowskie zasady życia partyjnego — wszystko to przecież wpłata się na codzień w żywą działalność ludzi, może jeszcze w wielu wypadkach anemicznie, może jeszcze koślawo, ale bijemy się o te rzeczy uporczywie, wytrwale, świadczą o tym wymownie zdobycze dziesięciolecia.

Z perspektywy lat lepiej niż w kręgu codziennych kłopotów i trosk widać, jak głęboko przeobraziło się życie narodu, sposób myślenia ludzi.

Jak w zwierciadle odbija się tu rola państwa ludowego jako dźwigni, która przekształcając ekonomicke przekształca ludzi i stosunki międzyludzkie, likwiduje zacofanie we wszystkich dziedzinach życia, rozwija kulturę, wzbogaca i podnosi świadomość, wychowuje masy w duchu socjalizmu i dzięki temu coraz bardziej potęguje swoje własne siły. Wszechstronna moc dyktatury proletariatu występuje w całej pełni wówczas, kiedy coraz to nowe zastępy ludu pracującego idą na szturm przyszłości, kiedy miliony ludzi gotowe są do łamania wszystkich przeszkód, do pokonywania wszystkich trudności — pod wodzą partii, razem ze swoim państwem.

Tak właśnie pojmował Lenin drogę rozwoju dyktatury proletariatu: przez rozwój demokracji, przez pełnotę ruchów mas ludowych do wsłuszenia w rządzenie krajem.

W tym też tkwi najgłębszy sens nowych zadań, które dziś stawia przed nami kierownictwo partii. Zadania te wyrosły z osiągnięć i doświadczeń lat minionych, na gruncie rosnącej dojrzałości i kultury mas, a więc na gruncie ich rosnących wymogów. Stare ramy stały się już za ciasne. Trzeba je rozsadzić i dalej iść wytkniętą drogą.

Lenin pisał: „To, o co rzeczywiście chodzi w epoce wielkich skoków, zawiera się w tym, że obfitość odłamków starego ustroju gromadzących się ciżemą szybko, aniżeli ilość załączków nowego (nie zawsze od razu widocznych) wymaga umiejętności wyodrębnienia tego, co najistotniejsze w linii lub łańcuchu rozwoju. Zdarzają się chwile dziejowe, kiedy dla powodzenia rewolucji rzeczą najważniejszą jest nagromadzenie jak największej ilości odłamków, tzn. rozsadzenie jak największej ilości starych instytucji; zdarzają się chwile, kiedy rozsadzone już dosyć i na porządku dziennym stałe „rozrzucone“ (dla drobno-mieszczańskiego rewolucjonisty „nuda“) prace oczyszczania gruntu z odłamków; zdarzają się chwile, kiedy rzeczą najważniejszą jest troskliwe pielęgnowanie załączków tego

co nowe, wyrastających spod odłamków na jeszcze niedostatecznie oczyszczonej glebie“.

I oto dla nas dziś jest rzeczą najważniejszą owo oczyszczenie gruntu z odłamków i pielęgnowanie załączków nowego. Taki też jest sens III Plenum. Temu służyć musi rozwój demokracji w życiu partii i całego społeczeństwa.

Trzeba abysmy z całą jasnością zdawali sobie sprawę z tego, że wobec tak doniosłych zadań i takich perspektyw przyplwy energii tworzącej mas niezmiernie wzrasta rola partii i jej kierownictwa, rola państwa ludowego. Im większe masy biorą świadomie czynny udział w budowie nowej ekonomiki, nowej kultury, nowego ustroju społecznego — tym mocniej partia musi trzymać w ręku ster, tym większego znaczenia nabiera organizatorska i wychowawcza funkcja państwa ludowego, państwa dyktatury proletariatu. Rosnąć bowiem musi inspiracja, rosnąć musi i doskonałość się kunsztu organizatorski, rozmach i umiejętność kierowania walką milionów, podchwytywania ich inicjatywy, czerpania z ich doświadczeń. Wzrasta rola partii i państwa, bo szybciej trzeba zmieniać z drogi stare nawyki, skostniałe formy, zacofane metody, zgniłe przesady, odważnie i umiejętnie torując drogę nowemu. Kto nie rozumie, że rozwój demokracji jest równoznaczny ze wzrostem i wzmocnieniem kierowniczej roli partii i państwa we wszystkich dziedzinach życia społecznego — ten nie rozumie abecadła leninowskiej nauki o dyktaturze proletariatu.

Jest absolutną prawidłowością rozwoju każdej rewolucji, że na jej drodze, obok trudności wynikających bezpośrednio z walki klasowej piętrzą się inne jeszcze trudności — trudności wzrostu.

Jednym ze źródeł takich trudności jest sprzeczność między wielkim rozmachem rewolucyjnych przemian, a starymi nawykami organizacyjnymi, starymi formami, trącącymi „najbardziej zaległą rutyną“ — jak to określił Lenin, pisząc: „Tu niejednokrotnie można zaobserwować zjawisko nader interesujące, jak w życiu społecznym ogromny skok napróżd idzie wparze z potworną niesmiałością wobec najdrobniejszych zmian“.

Wyjaśniając przyczynę tego zjawiska, Lenin mówi:

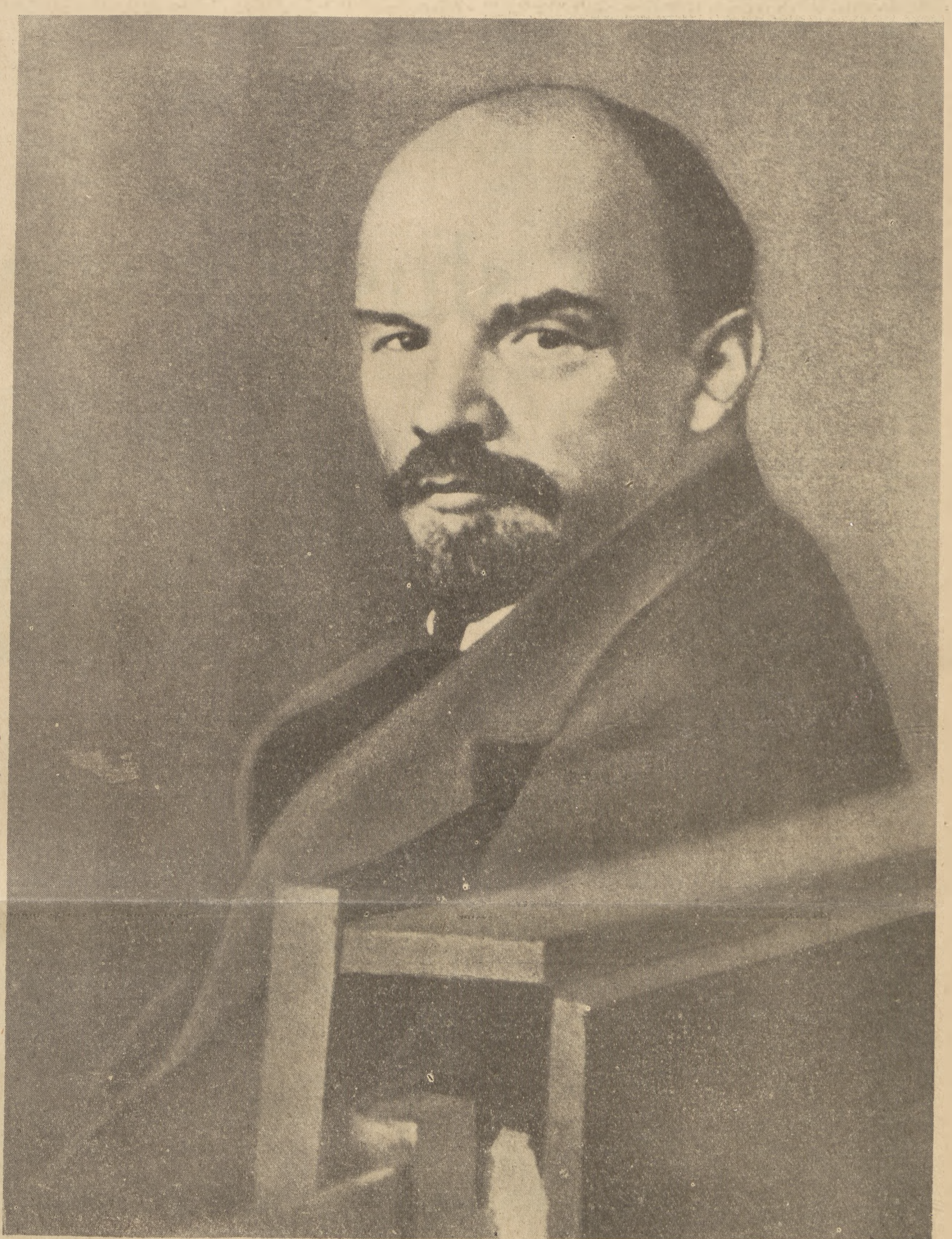
„...Myszę, że inaczej nie działosię w żadnej rzeczywistości wielkiej rewolucji, bo rzeczywistość wielkiej rewolucji rodzi się ze sprzeczności między tym co stare, między dążeniem do kontynuacji starego, a nader abstrakcyjnym dążeniem do nowego, które musi już być tak nowe, żeby ani odrobiny starego w nim nie było. I im bardziej radykalna jest ta rewolucja, tym dłużej będzie trwał okres, kiedy cały szereg takich sprzeczności będzie istniał“.

To, czego nam właśnie teraz najbardziej potrzeba, to leninowskiej pasji w przezwyciężaniu takich sprzeczności, leninowskiej odwagi w walce ze skostnieniem i rutyną, w walce z dogmatyzmem i szablonem, niezłomnej konsekwencji i kunsztu organizatorskiego w doprowadzaniu do końca każdej słusznej sprawy, każdego twórczego zamysłu.

A w związku z tym — kilka słów o posługiwaniu się przez Lenina bronią krytyki i samokrytyki. Zauważmy: najbardziej odważna i bezwzględna krytyka i samokrytyka nigdy nie ogranicza się u Lenina do samej negacji, nie poprzestaje na wykryciu przyczyn niedomagań i wypaczeń, zawsze łączy się z twórczym pomysłem pozytywnego rozwiązania sprawy. Co więcej, najbardziej twórcza i konsekwentna krytyka zawarta jest właśnie w jego konkretnych wnioskach dotyczących doskonalenia i usprawnienia pracy. Poczytajmy np. listy Lenina do wiceprzewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych w sprawie stylu pracy państwowej. Zawierają one surowe zalecenia, wzięcie, a jakże wymowne (podaje nie dosłownie, w skrótach): minimum posiedzeń; Rada Komisarzy Ludowych — raz na tydzień, dwie godziny; pilnować, aby drobne sprawy nie zaprzętały uwagi Rady; godzinę, a jeśli zdrowie pozwala — dwie godziny codziennie poświęcać na osobistą kontrolę: wyznaczyć (lub jeździć samemu) nie dygnitarzy, lecz członków kolegium i n i ż e j, cennych pracowników, sprawdzać jak pracują, dobierać się do sedna spraw, szkolić, uczyć, poznawać ludzi... Wszelkie zarządzenia i uchwały — to brudne papierki bez takiej kontroli... Krytyka twórcza, śmiała i posuwająca rzecz napróżd, płodna. a nade wszystko pryncypialna, zawsze z partyjnych pozycji, zawsze podporządkowana interesom partii i sprawy — oto wzór i natężenie dla nas, uczniów Lenina.

Jakże pouczające jest wszystko co pisał, mówił i działał w dziedzinie organizowania pracy państwowej. Taki np. list do komisarza zdrowia S'emaszki:

„...Proszę mi przysłać jak najkrótsze, ale dokładne, na faktach oparte sprawozdanie, co i gdzie



Rok 1911

zrobiono w ciągu tygodnia poprawy stanu sanitarnego?... Kto odpowiada za robotę? Czy tylko „biurokraci“ (czynownicy) z prześwietnym sowieckim tytułem, nie mający o sprawie zielonego pojęcia... a tylko podpisujący papierki? Czy też są faktyczni kierownicy? Kto mianowicie? najważniejsze, to osobista odpowiedzialność?... Jakże środki realnej kontroli? Czy pieniądze wydaje się na zakup cennych rzeczy (karbol? spręż do dezynfekcji? ile zakupiono?), czy też na utrzymanie nowych „urzędowych“ nierobów?...“

Jeden taki list uczy więcej niż tuzin konferencji i okólników.

Z jaką odwagą Lenin obnaża prawdę, jak śmiało wydobywa ją z obsłonek dogmatycznych formuł. Jak niezmiernie pouczające jest np. jego stwierdzenie, że klasa robotnicza musi poprzez swoje związki zawodowe bronić własnych interesów i interesów swojego państwa przed skutkami biurokratyzacji i wypaczeń. Cała działalność Lenina, jako wodza partii i wielkiego męża stanu, cały styl jego pracy przenika na wskroś głęboką wiarą w klasę robotniczą, w lud pracujący i niemal organiczną potrzebą bliskiego obcowania z masami. W liście do redaktora „Biedoty“ pisze:

„Towarzyszu Karpiński. Czy nie napisałbyście mi pkirośce (2 — 3 stroniczki maksimum) ile listów od chłopów otrzymuje „Biedota“? Co ważnego (szczególnie ważnego) jest w tych listach? Nastroje? Codzienne kłopoty? Czy mógłbym r a z n a d w a m i e s i a c e o t r z y m y w a ć t a k i e l i s t y?...“.

Bliżej Lenina, bliżej Lenina — taki jest sens III Plenum.

*

Są ludzie, którzy się irytują, że już trzy (!) miesiące upłynęły, a „jeszcze nie widać przełomu“. O święta naiwności, która wierzy w magiczne działanie uchwał. Gdyby ci ludzie, zamiast się niecierpliwić, zakasali rękawy i włączyli się do pracy, do twórczego poszukiwania nowych lepszych form przyspieszających nasz wspólny marsz. Praca ta już się zaczęła, trwa, rozwija się, co prawda m o l n i e, ale już się nie zatrzyma, nie cofnie się, nie ustanie. Wielkie rzeczy nie łatwo przychodzą. Wielkie zmiany nie od razu nastają. Najlepsze zasady i najsluszniesze uchwały nie działają samoczynnie. Wielka masa ludzi musi nad tym pracować.

Chcemy iść napróżd nie krokiem żółwia, lecz lotem ptaka. Czemuż więc niektórzy ludzie pióra miast rozwinąć skrzydła do lotu, siedzą przy b a r o m e t r a c h z a j e c i bezpłodną obserwacją wahań atmosferycznych i przepowiadaniem zmian pogody? Czemu zamiast wyostrzyć broń przeciwko tym co walkę naszą hamują, wolą zajmować się przelewaniem z pustego w próżne?

Wystarczy czujnie przyłożyć ucho do ziemi, aby usłyszeć wrogie podszepty, chytne, podchwytliwe, obliczone na małą odporność niektórych mniej zahartowanych ideowo środowisk. Czemu nasi utalentowani pisarze i publicyści nie dają tym podszeptom odprawy? Kto, jeśli nie nasza partyjna literatura, powinna iść w pierwszych szere-

gach naszej ofensywy ideologicznej?

W walce o wartki i czysty nurt całego życia społecznego, o prawdziwy przełom w tym życiu wciąż jeszcze stają nam w poprzek drogi biurokraci, asekuranci, dla-wielkie krytyki, którzy nie umieją lub nie chcą wyzbyć się starych nawyków i metod. Trzeba jeszcze dużo wysiłku, aby się z nimi rozprawić. Masy na dłuższą metę już nie ścierpią niepoprawnych biurokratów, partia ich nie ścierpi.

Ale oto w sukurs biurokratom przychodzi sojusznik. Mąci wodę, a w mętnej wodzie, jak wiadomo, biurokraci czują się jak ryby. Sojusznikiem tym jest zamęt ideologiczny, jaki się ostatnio daje zauważyć w niektórych głowach. Zamęt, który prowadzi do tego, że ludzie mało, jak widać, odporni na wpływ i nacisk obcej nam ideologii zaczynają głosić poglądy, które nie prócz szkody przynieść nie mogą.

Właśnie dziś, gdy partia i jej kierownictwo z głęboką wiarą w zrozumienie i poparcie u wszystkich co w społeczeństwie żywe, myślące, czujące, toruje drogę krytyce i inicjatywie mas, gdy wzywa je do śmiałego obnażania braków po to, aby je szybciej usuwać, by sprawniej budować i tworzyć, aby pomnażać dorobek narodu — rozlegają się głosy, że skoro wolność krytyki, to w s z e l k i e j — wszystko jedno z jakich pozycji; niech k a ż d y m ó w i i p i s z e c o c h c e, n i e c h p o d w a ż a c o c h c e p o d w a ż a ć, n i e c h o b r y z g u j e b l o t e m c a ł y n a s z d o r o b e k, wszystko jedno, żadnej krytyki nie wolno tłumić, żadnych

„śmiałych“ głosów nie wolno zamrażać: że jak demokracja i inicjatywa mas — to krytyka tylko z dołu, a z góry — tylko samokrytyka; że jeśli koniec z lakiernictwem, to czas wreszcie dopuścić do głosu tych, którzy malują wszystko na czarno, na ponuro.

Właśnie dziś, gdy partia w trosce o pełny rozkwit twórczości tępi biurokratyczne przerosły w kierowaniu dziedziną kultury — słychać głosy, że partia i państwo winny przestać się do niej wtrącać.

Trzeba dać zdecydowaną ideologiczną odprawę podobnym poglądom i tendencjom. To są poglądy zgnile, filisterskie. To są poglądy z gruntu obce naszej ideologii, obce leninizmowi.

Lenin uczy nas inaczej. Uczyrowiać nie „demokrację w ogóle“, lecz tylko taką demokrację, która pomnaża siły socjalizmu; nie „krytykę w ogóle“, lecz tylko taką krytykę, która prowadzi napróżd.

Lenin uczy nas doskonale i u-macniać — a nie osłabiać — kierownictwo partyjne wszystkimi bez wyjątku dziedzinami życia społecznego: im bujniej to życie rozkwita, tym umiejętniej partia musi nim kierować.

Lenin uczy nas pryncypialności i nieprzejednania wobec wszelkich przejawów zamętu ideologicznego.

A pracownikom kultury wyznacza Lenin rolę wyjątkowo zaszczytną, zadania wyjątkowo doniosłe i potyważące.

Jest dziś okazja, aby sobie o tym przypomnieć.

Romana Granas

WIKTOR WOROSZYLSKI

W G R U Z J I

Ordżonikidze — Tbilisi

Z dziejów pewnego kraju

Pojazdem niezbyt romantycznym — rozklekotanym autokarem (a z prawej strony — niebotyczny Kazbek, a z góry — ciężkim skwarem swoich promieni jak z żeliwa słońca przytłacza nas pokrywa) — wjeżdżaliśmy w ów kraj przedziwny, w przyrody obnażonej bezwstyd, gdzie rzek burzliwe narodziny wśród łez, od wieków nieobeschłych, wśród męki rozdartego łona niehumanitarnej

i radości, z której skały przebija ruń zielona... A skały, jak pierwotnych bestii człony zwałiste, które w piętra, w olbrzymią gór architekturę siła scalała niepojęta... Tak zaskoczeni przez naturę, mijaliśmy ją, oniemiaли, onieśmieni, ludzie, mali.

Kierowca, setny chłop, od razu upokorzenie nasze dostrzegł, więc zaśmiał się i dodał gazu i wnet, jak krzywej szabli ostrze, zafurkotała serpentyna, stromiznę krnąbrną przecinając... O, blasku w oczach Osetyna, kiedy jak wiatr nacierał na nią i rzucał nam pod nogi głębie bezdenne

z drwiną na czarniawej, lecz swojskiej, bo cwaniackiej gębie, co przypomniła mi Warszawę...

I tak, choć zgola nie pionierskim szlakiem, lecz zwykłym, inżynierskim, wracała do nas ludzka duma. Jeszcze wehikuł nasz, jak rumak, wspiał się na tylne koła, zarżał, przednimi zawisł nad przepaścią — w sobie ktoś może nawet zadrżał, na zewnątrz — spokój: góry patrzą.

Dalej jechaliśmy z pieśniami. Szczyty się zbiegły na wesele, leżinkę tańczyły z nami — to przełęczami przyklekały, to zboczem śliskim umykały, w objęciach kotlin zamykały, do nieba podrzucały skały, chwytaly znów — zaś na ich czele, chociaż nie tańczył dumny, siwy Kazbek, kaukaskich gór tamada, lecz wznosił nieprzerwany toast za życie, za lipcowe dziwy i — jak najstarsze z praw wymaga — za gości, za ich piękny pojazd...

A pojazd toczył się, zataczał, a dzielny dzygit nasz gazował — i oto błyszczy już Krzyżowa Przełęcz — jak wpół złamana tarcza. Tu zimne nas owiały wiatry, tu na kamieniach rdzawe kwiaty malował narzan żelazisty. Postojem krótkim pokrzepieni, dalej ruszyliśmy, gdzie bystry na dnie doliny nurt się pienil Białej Aragwi.

Niby gniazda jaskółcze do występów wąskich pasterskie przylepione wioski. Fajki kominów dymią.

Znowu przepaście, kawalerska jazda, w dół, w górę. Rzeki szmer z parowu, bek owiec smutny, dygocąca basetla mostu, zachód słońca.

O zmroku Mcchetyśmy dopadli, dzwoniącej światłem. (Czary! czary!) Tu przytuliła się Aragwi do piersi matki swojej. Mtkwari. Zaś ta — gwałtowna, niecierpliwa — z miejsca porwała ją ze sobą i tylko wystrzępiona grzywa mignęła, jak pędzący obłok. I odtąd już ni gór, ni rzeki: nad wozem dwa ciemności brzegi zwarły się w niebo niewidome.

...Lecz nikt nie przeczuł, że już bliski cel — wielkomiejski gwar tbiliski i chwila smutku, gdy przed domem gościnnym pojąć nam wypadnie, że może będzie jeszcze ładniej dalej — lecz dziś przebytej drogi nie prócz pamięci nie odrodzi chwiejnej...

Ach, czemu śpisz tak bez troski? Wonny piodun cię uśpił, co stepem biegnie? Ocknij się! Słuchaj! Postaniec wojny do wrót kołace ojczyzny biednej.

W starciu z sąsiadem ponurookim upaść ci, ludu nazbyt łagodny! Spiewa cięciwa i nocnym mrokiem przykryty — szakał skrada się głodny.

Daleka ziemia, dalekie dzieje... Ale płacz dziecka, starca rżężenie, noc, gdy boleśnie długo nie dnieje — pamiętam przecież. I znam tę ziemię.

Pamiętam ucisk stopy Timura, depczącej trawy, trakty, winnice, i mór pamiętam, i w pustych murach osiedli — wichru czarnego wycie.

Dzieje: szcęk mieczy i kobiet lament, uchodźstwo ludu, spalone miasta. Pośrodku nieba — szkarłatna plama, jak namiestnika szydercza maska.

Dzieje...

A ludzie żyli. Winorośl światłem pęczniała, sokiem wzburzonym. Mnisi pisali księgi w klasztorach. I poczynaly na wiosnę żony.

Uczyły synów ojczystej mowy, przekazywały płomyk talentu...

Lecz szedł na synów najeżdźca nowy, ze świtą zgrozy, z orszakiem lęku.

I — wiek dwudziesty! Już nie wystygnie kronika, jedną brocząca raną: milion posłano po śmierć w pustynie, milion na miejscu wymordowano.

Tysiące uszły znowu — bez mienia i bez nadziei, tylko z pamięcią. ...Siostra nasza, Armenia, ziemia, zroszona męką...

Luźne notatki z dziennika podróży

1. Mtkwari, w noc z kamiennego progu chluśnięta, pieni się blaskiem w kotlinie. Tbilisi: góral wysmukły plecy o zbocza oparł, w rzece stopy białe zdrożone myje.

2. Plantacja herbaty: stado tłustych, zielonych owieczek wyległo na stok pełen słońca, znieruchomiło na wietrze.

3. Domy Erywania i Tbilisi wzniosł realizm socjalistyczny,

Mała pionierka, zwinna Metakse drży — lecz nie z trwogi: taniec tak każe Oczy jej — otchłań, i włosy także czarne, jak letnia noc na Kaukazie.

A w parku — blask. Po jabłku — lampionie dostało każde z drzew do zabawy. Mała za mała jest i nie pojmie losów za smutnych, smutków za dawnych.

Ale w jej ruchach — cała Armenia. bólu, niewoli, zagłady wieki: nagle, spłoszone zgiccie ramienia, schylenie głowy, trzepot powieki.

Błagalny gest wyciągniętych dłoni (przez ile przywędrował pokoleń?), kluczenie uchodzącej pogoni, znieruchomienie w martwą pokorę.

O, kraju, w którym najmłodsza zieleń, z ziemi zaledwie wytrysła — jeszcze, zda się, murawy chroni znużenie, po której przeszły pułki łupieżcze!

O, kraju, w którym radości taniec z trwożnych się składa ruchów i dźwięków! O, kraju!...

Wtem melodia ustaje, Metakse stoi z kwiatami w rękę, zmieszana i szczęśliwa jest teraz, a park wiruje w wieczór świąteczny, klaszczą koledzy z Domu Pioniera i goście przyszli bawić się z dziećmi.

Znów grają. Dobrze! I jam ochoczy bardziej do zabaw w tej pięknej ziemi, niż do rozmyślań.

Lecz jeszcze — w oczy Metakse spojrzmy, nim w płas pójdziemy.

...A wy mówicie, że przeszłość — przeszła, że strasznej — w świecie tym nie ocaleć; lecz jakże sprawić, by z oczu pierzchła dziewczynki, która nie zna jej wcale?

imieniu? Zajrzyjmy w głąb chłodnego podwórza.

...I oto wychodzącym Suchumi podstawią nogę, swawolne.

6.

W pół drogi do Jeziora Rica, wspaniałego pejzażu w złotej ramie gór, rozhuśtanego wrzawą sprzedawców pamiątek — niepozorne, skulone pod skałą, milczące Jezioro Błękitne. Od sławnej Ricy dwukrotnie głębsze.

7.

Charakter tej ziemi? — Owocność. Tego nieba? — Szczodroblivość słoneczna. Tych ludów charakter? — Gościnność. Jedno znaczą te słowa.

8.

Ale i tu przy sąsiada imieniu dostrzegałem niechęci odruch. Wpatrywałem się, śladu powrozu szukałem niestartego z duszy narodów.

9.

Co z podróży do domu zabiorę? Słońca kryształ, powietrza sopol, szumu morskiego grudek, radości nierozpryskanej siedem kropel.

Noc nad Suchumi

...Więc — coraz wyżej, coraz wyżej! Jak w ślubnej sukni, drży w mimozie ciemność. Za drzącą — stań — i wyjrzyj: tam — w dole — niebo? Czy też — morze?

O, stare słowa: nocy szata, z gwiazd śpiewających pas jej lity. ...A te iskiarki — niżej, w krzakach — takie znajome! To — świetliki.

I jeszcze — źródła szmer, co ściga wspomnieniem. Reszta — sen, fantazja. Woń oleandrów, cykot cykad, gorąca, tajemnicza Azja.

Przez całe życie do harmonii tęsknimy, do doskonałości. To ona! Czemu tak się broni serce? Ucieka! — słyszysz łoskot?

Słabe!

Lecz gdy od zbyt ogromnej urody nocy brak już tchu mi — brzoskwinia pełną nad Suchumi zawisa księżyc, płynie do mnie —

chwila — i sokiem wargi zwilży spragnione.

Ciemność drży w mimozie. Cisza. Za drzącą — stań — i wyjrzyj: tam — w dole — niebo? Czy też — morze?

A jednak

Gazeta „Zaria Wostoka” (Tbilisi) doniosła o rehabilitacji oszkalowanych pisarzy gruzińskich — P. Jaszwilli, M. Dżawachiszwilli i T. Tabidze.

Lato kaukaskie, stubarwnej urody twej nic nie zetrze! Lecz dziś — wzruszyła mnie bardziej szara szpalta w gazecie.

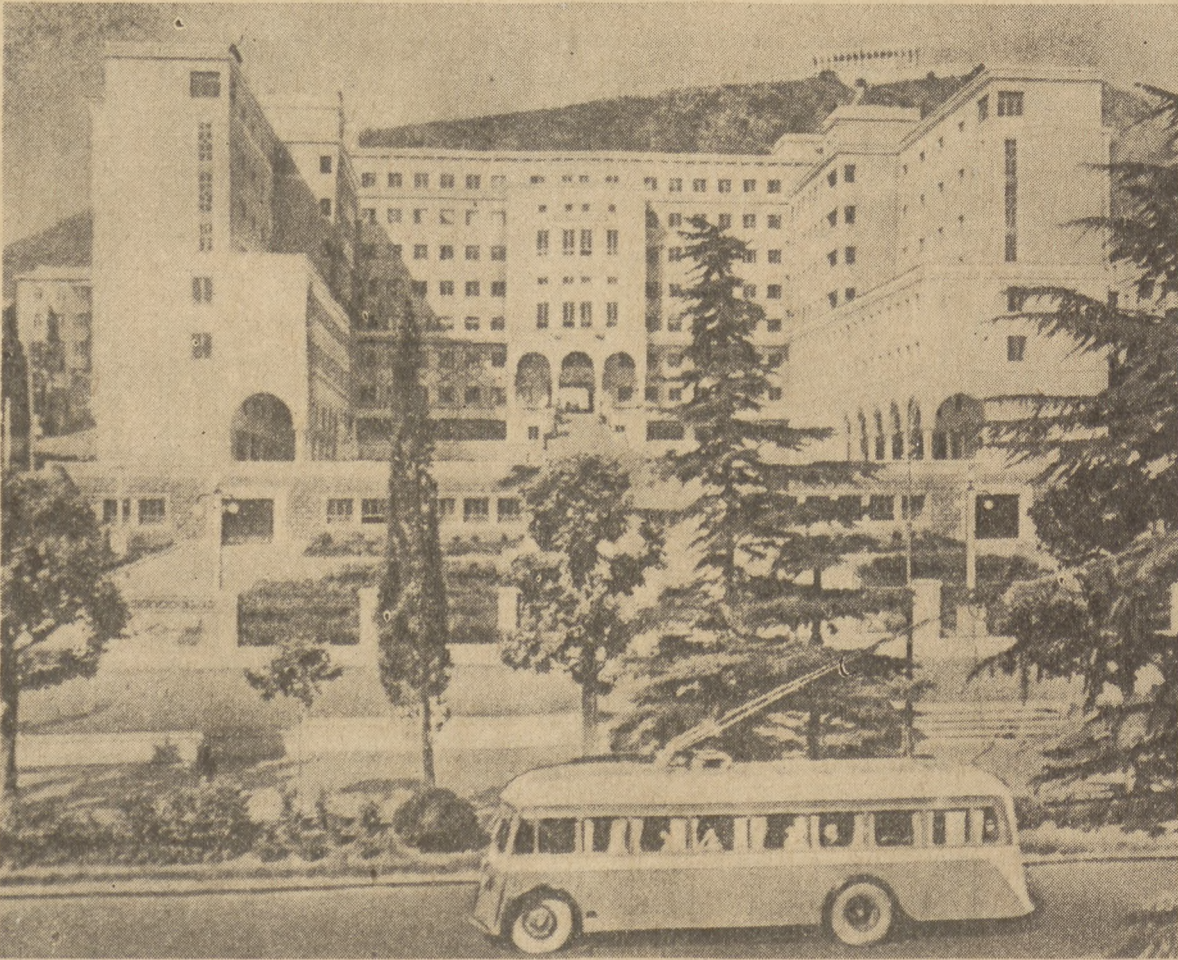
Przeciwstawienie prostacze wybac mi, z ośnieżoną skronią skalisty starce: trzem ludziom imię zwrócono.

Zbocza, porośnięte winem, ślące przedziwne wonie, za życiodajną nowinę pół czaru waszego roztrwonię.

Cóż, że się tak sprzeniewierzę poezji dźwięcznemu pięknu! Wierny zostanę większej sprawie: ludzkiemu tętnu.

Stopy człowieczej śladom, zmytym przez wrogie deszcze i znowu kaukaskim latem odkryty na górskiej ścieżce.

1954



Gmach Rady Ministrów Gruzjińskiej SRR na bulwarze Rustawelgo w Tbilisi